

RODZIEWICZÓWNA MARIA

# LATO LEŚNYCH LUDZI

Rodziewiczówna Maria

**Lato leśnych ludzi**

«Public Domain»

## **Maria R.**

Lato leśnych ludzi / R. Maria — «Public Domain»,

Lato leśnych ludzi — powieść Marii Rodziewiczówny z roku 1920. Tytułowe postaci to osoby, które nie zatraciły kontaktu z przyrodą, potrafią żyć wśród niej i ją obserwować. Powieść opisuje życie trójki przyjaciół (występujących pod przezwiskami Rosomak, Pantera i Żuraw), spędzających lato w oddalonej od cywilizacji leśnej chacie. W pewnym momencie dołącza do nich chłopak z miasta, określany jako „murowa stonoga”, a potem — od ciągle powtarzanych pytań — jako Coto. Dalsza część książki opisuje, jak „rekrut” stopniowo uczy się życia w lesie i poznaje tajemnice przyrody. Las ma jednak również inne tajemnice — te z czasów powstania, żyjące w pamięci starego Odrowąża, mentora „leśnych ludzi”. Nasi bohaterowie zetkną się także i z nimi, i będzie to istotny element leśnej edukacji Cota.

## Содержание

Genealogia	5
Przedwiośnie	7
Przesilenie	9
Na wyraj	10
Osiedle	13
Dzień chyżej Pantery	19
Dzień czujnego Żurawia	22
Dzień chytrego Rosomaka	26
Конец ознакомительного фрагмента.	31

# Maria Rodziewiczówna

## Lato leśnych ludzi

### Genealogia

O starodawnym, bo jak bór odwiecznym, rodzie mowa tu będzie. Ma on przodków we wszystkich wiekach i tradycję we wszystkich szczepach ludzkości, boć nie ród to ciała, lecz duszy, nie ród lasu mieszkańców, lecz lasu miłośników, przyrody czcicieli.

Z rodu tego był poeta, co w Helladzie wyśpiewał mit Pana i Faunów, i ten, co stworzył Baldura w Skandynawii, i ten ich krewniak duszny, co w obchodzie religijnym Ariom dał Kupalną noc czarowną. I patrona swego ów ród ma, gdy ludzkość weszła w Pana Jezusowego szeregi.

Ich duszę miał, z ich rodu był słońca miłośnik i śpiewak, ptasząt i ryb kaznodzieja, wszelkiego stworzenia przyjaciel, seraficki święty Franciszek.

Mędrców i uczonych mają w swym rodzie i pozornie teraz wchłonięci w miliony ludzkości, zachowali przecie odrębność i właściwość swych leśnych dusz.

Ogarnęły ich ziemskie przewroty, życie gorączkowe, skomplikowane warunki, materialna walka o byt. Odsunęła ich od przyrody cywilizacja, postęp tak zwany, niszczenie natury przez rozrost przemysłu, straszny ciężar nowoczesnego bytu, nowoczesnych praw i obowiązków.

Pozornie nie ma dla leśnych ludzi ni miejsca, ni życia. Przystosowali się do warunków i już teraz niczym się jakoby od reszty ludzi nie różnią. Spełniają swe obowiązki powszednie, pracują wśród innych z innymi, obcują z cywilizacją, biorą udział w postępie, korzystają z wynalazków, umieją się obchodzić z pieniędzmi, mieszkają w miastach, ubierają się jak inni, bywają w teatrach. Czyżby ród i tradycja leśnych dusz zginęła? Przenigdy! Nieśmiertelny jest duch i ród ducha nieśmiertelny; tylko kto rodu tego ciekaw, z rodu tego być musi i wtedy krewniaka odnajdzie.

Nie trzeba koniecznie szukać go wśród cichej wsi i głębokich borów, wśród ludzi stojących u warsztatu przyrody, w jej królestwie: można tam szukać długo i na próżno, a znaleźć w wielkim fabrycznym mieście. Można znaleźć w uczniowskim pokoiku, gdy chłopak po odrobieniu algebry, zamiast iść szukać rozrywki w dusznej sali knajpy, z gilem chowanym się bawi i dogląda go, można w suterenie szewca, co ledwie wie nazwę ptaka, który mu ćwierka przy robocie. I w tłumie ulicznym poznać można po szczególnym zachowaniu się w nadzwyczajnych wypadkach miejskiego życia.

Gdy wychodzą wieczorem dzienniki z ostatnimi depešami wojny, skandalicznego procesu, sensacyjnego mordu, a ktoś nie bierze do rąk gazety, ale przypatruje się z uśmiechem sadowieniowi się wróbla na nocleg, z rodu leśnego jest.

I z tegoż rodu jest taki, co wśród uroczystego pochodu ulicznego, gdy wszystkich pochłania muzyka, stroje, ekwipaże, paradne szeregi wojska lub korporacji, dojrzy zziębniętego psiaka przed zamkniętymi drzwiami sklepu i otworzy mu je z dobrym słowem życzliwości.

Wśród ogłoszeń dziennikarskich członek tego rodu wyszuka adres sprzedawcy słowika w klatce, zna handlarzy ptaków, więźniów tych wykupuje z niewoli i z wiosną puszcza na wyraj, równie jak one radosny.

Leśni ludzie zwykle trzymają się samotnie, dusze swe kryją, o swoim wnętrzu z nikim nie mówią, wiedząc, że to innych nie zajmuje.

W potwornym młynie ziemskim, gdzie bożyszczem jest interes, walka o zbytek i użycie wykwit cywilizacji, obcując z innymi, mają w oczach często zgrozę lub krytyczne zdumienie, ale milczą i spełniając swe społeczne obowiązki, baczą tylko, by się nie dać zgnieść, zmiażdżyć. O dusze swe nie są trwożni: tych zaraza świata nie skazi.

I tak trwają, rzadcy wśród świata i obcy mu zupełnie. Czasami znajdują druha. Otwierają się na ścieżaj wrota duszne, krzepią się oni wzajem: marzenia, potrzeby, tęsknice zmieniają się w słowo.

Wyrażają ufnie głos swobody, ciszy, obcowania z naturą, przetwarzają swe żądze, aż utworzą czyn, aż wypracują sobie rzeczywiste, żywe, wedle swej duszy bytowanie.

I takie jedno lato leśnych ludzi tu będzie zawarte. Dla tych, co je przeżyli – kronika szczęścia; dla tych, co po świecie rozproszeni, o nim samotnie marzą – bratni upominek i może do czynu pomoc.

\*

Było ich wtedy trzech.

Najstarszy, za wodza i kierownika obrany, był przemyślny, uparcie w postanowieniu zawzięty, w wykonaniu zamiaru prędko, naukowo z przyrodą zżyty i obeznany.

Ziemi szmat posiadał, a wśród tej ziemi bagna i lasy, leniwymi rzeczulkami, jak siatką, porżnięte, od ludzkich dróg dalekie, dla ludzkiej chciwości niełakome.

Tam, w głębi tych tajni, ukryta jak gniazdo, powstała pewnej wiosny chata samotna. Jakiś czas białął gontowy dach i trzaski i czerniały koleiny wozów, co z dala przywiozły materiał; po roku wszelki ślad osady zasnęła zieleń traw i mchy.

Dziki wino i róże pokryły ściany, chata się stopiła, wrosła w okalający ją szczelnie las.

Nazywali ją leśni ludzie swoim wyrajem.

Wódz przez życie potracił swych bliskich i żadnej rodziny nie posiadał. Dom jego natomiast był pełen bożych domowników, nad nimi rząd i opiekę trzymał towarzysz jego, druh, którego sobie wychował i w swym duchu urobił.

W swoistej gwarze leśnej wódz miał przydomek Rosomaka, ten drugi został nazwany Panterą.

Najmłodszy z trzech, cały złożony ze stalowych mięśni, chybki, zwinny, miał też swej imienniczki drapieżność i dzikość. Znał naturę ze współżycia z nią, rozumiał bór i wodę, i pole, i duszę miał na wskroś leśną.

A potem do tych dwóch stowarzyszył się trzeci, którego Żurawiem nazwano.

Ten uchował w życiu najczystsza duszę. Był uosobieniem dobroci, łagodności i wewnętrznej słonecznej pogody. Cieszył się leśnym życiem, jak się młodość tylko radować może. Marzyciel to był, zawsze trochę roztargniony, rad się śmiejący, pracowity za wszystkich, a zdrowia i wytrzymałości żelaznej.

I byli ci trzej, siebie wzajem dopełniając, stałymi letnimi osadnikami głuszy, twórcami tego pierwotnego bytowania, stanowili jedno z puszcza, żyli w niej jak wszelkie stworzenie, co do niej sięgało z wiosną na wyraj, odlatywało jesienią.

Zimą zamknięta na głucho, z końcem lata zasypiała chata. Osypywały dach żółte liście, potem śnieg, niknęły ścieżki letnie, a za to zwierz swoje po śniegu rysował.

Sikory nocowały pod dachem, wiewiórki po skrzynkach gniazdowych, zające żywiły się na żarnowcu, w szczeliny podwalin, na sen zimowy, wciskały się węże; na zmarzłe jagody winne i głogi przylatywały gile, a niekiedy podsuwały się do ogrodzenia sarny i skubały uschłe łodygi letnich kwiatów, które Żuraw wypielęgnował.

A daleko, wśród ludzkiego mrowia, leśni ludzie o tej chacie swojej marzyli tęskniący i myślą byli z sikorami, gilami i z całą tą resztą swych letnich współtowarzyszy.

I czekali wiosny.

## Przedwiośnie

Rosomak i Żuraw zimowali w mieście; na straży leśnego raju został Pantera. Wieści zamieniano rzadko – i ptaki zimą nie śpiewają, a tylko czasem witają się i żegnają krótkim a wymownym hasłem zimowym „cierp, cierp, cierp”.

Więc gdy w końcu lutego ujrzał Rosomak kopertę z patykowatym pismem druha, rzekł tylko: – Będzie wczesna wiosna; musiały już przybyć skowronki, kiedy się Pantera odzywa.

Otworzyli chciwie list i czytali razem dla pośpiechu; oczy im błyszczą uciechą:

Wodzowi i druhowi pozdrowienie leśne. Donoszę wam, że wczoraj obudził się ze snu nasz domownik Tupcio. Zasnął tak gruby, że ledwie się w bucie zmieścił, a wczoraj wyszedł tak szczupły, że cholewa mu była jak korytarz. Wgramolił mi się zaraz na kolana i pokłął na powitanie, fukając: jeść! Pożarł mnóstwo sera i mleka, od razu rozpęczniał, a dziś, gdy to piszę, gania po całym domu, czyniąc nocną policję na myszy. Ma się tedy ku wiośnie. Ale Kuba twierdzi znowu inaczej.

Kuba w październiku zrobił na piecu gniazdo. Zaciągnął tam parę ścierek, moje ciepłe rękawice, czepek Drodzowej, dużo waty z gościnnej kołdry, na wierzch przywłókł parę gałęzi z oleandrów, a gdy szopa była pod sufit, wsunął się do środka, wejście zasunął i chrapanął. Onegdaj też wyrżał. Temu sen służy. Szubę ma popielatą, lśniącą, kitę jak strusi pióropusz, na uszach pędzle zawadiackie. Wylazł, przeciągnął się, chlapanął wody, zagryzł orzechem i wyskoczył do ogrodu. Mało wiele bawił, wrócił zły, szubę zmoczył, nogi obłocił, pączki wypluł.

Powiada, że gorzkie, bez żadnego wigoru, i że najlepiej jeszcze spać, a dobre przyjść musi. Powiedział mi to z pieca, otwór chałupy zasunął i tyłem go oglądał.

Bogatka, co u nas też zimuje i ćwiczy mole po całych dniach, zaczęła się jednak na swobodę napierać. Ano, dobrze: otworzyłem okno – poszła, jak na wesele, z wyrwasem. Obiera robactwo z klonu pod oknem i ćwierka do mnie: już czas, już czas.

I komu z nich wierzyć, boć i skowronki są – a jakże! Poszedłem z nimi się przywitać aż daleko w pole.

Po zapadach śnieg leży, lód trzyma, a po haliznach<sup>1</sup> goło i czernieją stare kretowiska. Wicher jak mięta: niby zimny, a smali, skowrończy gwar już posiadł nasz łąn aż do jesieni.

A o innych wędrownikach takie wieści. Zapadły na nocleg w zeszły piątek pierwsze gęgawy i gomon wielki podniosły; poszedłem też posłuchać, jakież zza morza wieści prawią. Czysta, echowa była noc, ale jeszcze mroźna, brzegi zalewów lodem się ścięły i tak trwał on aż do południa. Co noc na sad nasz czarny opadają rzesze podróżnych ptasząt. Spadną, mało co mówią, o świcie ruszają dalej; to nie te, co z nami lato spędzą. Ruszyły dopiero te pułki, co dalej na północ mają przeznaczenie.

Kuropatw trzy pary mam na górcę, znalazłem w sidłach chłopaczych na śniegu, i te mnie co rano pytają, ile jeszcze niewoli.

Rajcują o tym wróble, zmówiny już między nimi, jak w zapust. Te już się klną, że wiosna tuż.

Pszczoły – jak Kuba! Zastukałem do jednych, pytam: matko, czy wiosna? Zaburczały sennie: cyt, cyt – matka śpi.

---

<sup>1</sup> halizna – powierzchnia leśna, która po wycięciu drzew nie została ponownie zalesiona. [przypis edytorski]

I komu wierzyć, i jak tu wytrzymać!

Nie wiosna to i nie zima-jędz. Nie pochód to hetmański raj, ale już przednie wici rozesłane: „sposobić się czas”.

Więc się kto gorętszy sposobi. Leszczyna kutasiki karminowe jeszcze od chłodu otula, ale kotki już puściła na wicher; w wodach lodowatych na dnie widać pęczniejące kaczeńce, pod liśćmi w gaju można wyszukać zawilce. Wszystko gotowe czeka i gdy ucho do ziemi przyłożysz, słyhać, że coś grać zaczyna, aż człowiek dorozumieć się nie może: ziemia li gra czy jego własna krew – jedno! Życ, żyć, żyć!

Gdy wszystko w jeden głos tak krzyknie, zawołam do was: bywajcie!

Tymczasem sposobię chodaki, konopacę czółno, kosze i więcierze narządzam i czekam drząc z ochoty.

Tyle było listu. Rosomak go raz jeszcze przejrzał.

– Dżdżownice nie ruszyły – rzekł. – Jędza jeszcze wróci.

Westchnęli obaj. Tęsknica skreśliła ich serca i Żuraw dodał:

– Zaleciało barwą, wonią, smakiem, muzyką, aż boli – tak tęskno! Wymknijmy się choć za rogatki, posłuchajmy, popatrzmy, wichru się napijmy!

– Choć z wizytą do swoich! – potwierdził Rosomak. – Bo czekać nam jeszcze długo. Do przesilenia i dalej – całe dziewięć niedziel!

## Przesilenie

W marcu jędrza-zima bezczelna wściekła wstała jeszcze raz do boju. Całe hufce zegnała, szare pułki chmur, watahy wichrów północnych i cisnęła tę armię na pęczniejące drzewa, na wyzierające żdźbła, na rzesze ptasze, co jej uragały weselną pieśnią.

Na poczynające życie z chmur tych, przy rechotaniu wichru, poczęły się walić śniegowe zwały jak gżło śmiertelne.

Słońce, jak widmo, stało za tą czeredą chmur, cierpliwe w poczuciu swej siły i pewne triumfu. Jak mocarz wszechpotężny, dawało wrogowi folgę pozorną – niech wszystkie siły w bój wprowadzi, napaścią się wyczerpie – by potem swą światłowładczą potęgą błysnęło i zwyciężyło.

– Biedna nasza Bogatka! – rzekł Żuraw, patrząc na tumany śniegu.

– Bogatka pewnie przy pierwszej zadymce zastukała do okna i wróciła na zimowe leże do Pantery – odparł Rosomak.

Gorzej tym w lesie, jeśli struga wezbrała i pożywienia im dostarczyć nie można. Byle, na dobitkę niedoli, jędrza mrozu nie wywlokła sobie w sukurs.

Drzewa wiosennej krwi są pełne, gałęzie nabrzmiące, bolące, gdy tknąć. Trzeba ratować.

Puścili się we dwóch za rogatki, trafili na zagajnik śniegiem zawalony, jęli otrząsać biały całun.

Rozpoznali drzewiny i mówili do nich jak do serdecznych przyjaciół.

– Korale wyhoduj, jarzębiu smukły! Śmigaj, brzózko srebrna! Ostrożnie się odginaj, kloniku, boś kruchy. Za ciężka nawet tobie szuba, świerczku, zuchu zimowy.

Odginały się z ulgą gałęzie, a oni się śmiali, zgrzani, rozradowani, upojeni mroźnym marcowym powietrzem.

Zmierzch dopiero spędził ich od roboty, a w nocy stało się, co powiedział Rosomak. Mrózek kat pięść z kleszczami ścisnął.

Jęknęły lasy z bólu rwanych tkanek, na całun śmiertelny padały ich członki – jędrza cieszyła się zgubą młodego życia.

– I po co to? – szepnął Żuraw.

– Prawo! – odparł Rosomak. – Nad nasze zrozumienie. Prawo! Ale to nie zguba! Bywa twarde i potężne, gdy niszczy, i takie potężne, gdy tworzy. Ale to nie zguba! Zguba – to mała, nikła istota, bez gromu, wichru, nijakiej widocznej mocy, bez kłów i pazurów, jak robak, goła. Kędy ta zguba przejdzie, tam nie ostanie ni puszcza leśna, ni zwierz potężny, ni ptak najśmiglejszy, ni żadnego stworzenia schron. Zostaje tylko on!

Trzy dni mróz katował ziemię, trzy noce wichry się szamotały, za bary się wodząc i zmagając, w tumanach śnieżnego kurzu, z wyciem, poświstem, warczeniem, jękiem, aż pewnego ranka na nowiu miesiąca z południa jakby fala runęła powietrzna: hetmański hufiec wiosenny.

Jak chmara nikczemna pierzchły przed nią tumany śnieżne i na błękit promienny wstąpiło na swój majestat zwycięskie słońce. Fala powietrzna niosła ze sobą jego moc krzepką, żywą, moc zdrowia i zaroilo się na ziemi, zatętniło, zawoniało, zagrało – jeden hymn odrodzenia.

Do leśnych ludzi przyszła wieść od Pantery krótka jak okrzyk zdyszanego gońca: „Las ożył – woła, gra! Bywajcie!” Zerwali się, zbierali gorączkowo, ogarnięci jakimś szałem, potrzebą, musem, żądzą swych dusz, jak ptaki wędrowne.

Wołało coś w nich, wszystko inne głuszac:

– Na byt swój, na byt swój!

Na wyraj, na wyraj, na wyraj!

## Na wyraj

Przed domem Rosomaka rankiem panował ruch i rozhowory<sup>2</sup>. Ranek był kwietniowy, pogodny, słoneczny, wilgły od deszczu, co przeszedł z wieczora. Przeszedł, cuda tworząc. Rozkleił lepkie obłony liści, zmył z traw resztę pleśni, roztworzył oczy białych zawilców i fiołków, wywabił z wody złoto kaczeńców, obmył i w kwiat wyczarował kocanki łóz i wierzb.

W ciszy nocnej szmerem kropel budził, na gody namawiał, a gdy słońce wstało, ziemia ku niemu wystąpiła już strojna, wonna, barwna i rozśpiewana.

Pod gankiem stał długi wóz drabiniasty i ładowano go przemyślnie wszystkim, co w bytowaniu letnim było lub mogło być potrzebne.

Żuraw pakował żywność, odzież, zielniki swe, podręczną apteczkę; Pantera prowiant zwierząt-towarzyszy, sieci, więcierze<sup>3</sup>, kosze, chodaki, narzędzia rzemieślnicze; Rosomak jakieś swoje specjalne skrzyneczki, tyczki, puzderka, książki – cały balast do badań przyrodniczych; a każdy tak był pochłonięty pracą, że ino się snuli z domu do wozu, jak pszczoły, ładując i ładując. Wóz stawał się kopiasty.

– Teraz już tylko towarzyszów! – rzekł Rosomak, zlustrowawszy wóz. – Jeżeliście zapomnieli, cierpcie!

– Pewnie, że ja coś zapomniałem! – troskał się Żuraw stękając.

Teraz przez wrota od folwarku wkroczyła karmicielka leśnych ludzi, latująca z nimi co roku w puszczy, gniado-srokata Hatora. Chuda jeszcze była po ciężkiej zimie, z sierścią nastroszoną i bez blasku.

Znało bydłatko, co znaczy to ładowanie.

Podeszła do Pantery, obwąchała ludzkie ręce, dostała chleba z solą, obejrzała wóz, skubnęła siana, spenetrowała, czy czuć na dnie kartofle i osypkę, wytarła szyję o luśnię<sup>4</sup> i stanęła, żując powoli, łagodnymi oczami śledziła ruchy ludzkie.

– Hatora, chcesz „bamboły”? – zagadnęła Pantera, wynosząc z domu blaszaną krowią klekotkę<sup>5</sup> na rzemieniu.

Hatora przecząco poruszyła uszami i odwróciła niechętnie swą rogatą głowę.

– Nie! – Hatora nie lubiła „bamboły”.

Przed paru laty, gdy ją ustrojono w to straszdyło, bezustannie gadające, oszalała z trwogi i wstrętu, umęczyła się okropnie, starając się pozbyć, zedrzyć ze siebie po gąszczach obmierzonego stracha.

Nawet w rozdrażnieniu i dzikim buncie popełniła czyn zbrodniczy, rzuciła się z rogami na Panterę, rycząc ponuro: mord, mord. Ale to było dawno, w samych początkach jej leśnej służby. Potem Hatora zrozumiała, że nałożenie „bamboły” oznaczało rozkoszny żywot w puszczy, w obfitości pastwisk, wody – w nieograniczonej swobodzie.

Nie było pastucha i jego bata, nie było psów ani łańcucha w dusznej oborze, ani zdradliwych rogów zawistnych towarzyszek. Bo Hatora przez te lata straciła instynkt stadny i skierowana przez dom, najkrótszym nawet pomrukiem nie pożegnała zimowej kompanii. Bez zapału, ale i bez protestu pozwoliła sobie nałożyć naszyjnik.

– Pantero, zaprzęgaj Łataną Skórę. Idę po domową czeladź. Zabierz klatkę z ptakami! – komenderował Rosomak wchodząc do domu. Żuraw lokował właśnie na wóz kosz okryty krasno przetkaną serwetą. Pantera i Hatora zawęszyli z lubością. Pachniał świeży razowiec.

---

<sup>2</sup> *rozhowor* (daw.) – rozmowa. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *więcierz* – drewniana lub wiklinowa pułapka na ryby. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *luśnia* – element wozu drabiniastego. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *klekotka* (daw.) – kołatka. [przypis edytorski]

– Wódz tak goni, że i śniadanie się wściekło – rzekł Pantera. – Nie wytrzymam, tak pachnie – sięgnął po nóż za pas, odchylił płótno, bochen jeden krzyżem przeżegnał i spory glon<sup>6</sup> odkroił. Przełamał i z lubością obydwaj jedli. Wilgotny pysk Hatory wsunął się także do spółki.

– Aha, wódz kazał zaprzęgać! – przypomniał sobie Pantera, ruszając do stajni.

Po chwili wyszła na słoneczne podwórze klacz srokata, stąpając z rozważą i ostrożnością. Pociągnęła Panterę do studni, napiła się do syta, a potem nie kierowana poszła ku wozowi.

Spróbowała smaku siana, poszukała na dnie worka z obrokiem, parsknęła, ziewnęła, przeciągnęła się i z rezygnacją podała głowę do chomąta.

– Nie zezuj na ładunek! – rzekł Pantera. – Wiemy, żeś żrebna; w błocie i piachu pójdziemy piechotą. Zachodź w hołoble<sup>7</sup>! – Przyciągnął rzemienie, zaprzęgił i stał w gotowości do jazdy, pojedając chleb na spółkę z bydłatkami.

– Powiedz Żurawiu wodzowi, że gotowe; szmat drogi, ledwie zdążymy na odwieczerzę.

Rosomak tymczasem miał kram z domownikami. Tupcio i Kuba, jeź i wiewiór byli szczytem sprzeczności obyczajów i upodobań.

Mało się znali, ale dość, by się nienawidzić, chociażby dlatego, że jeden drugiemu nie dawał spać.

W nocy Tupcio bezustannym dreptaniem ploszył Kubę, że wyprowadzony z cierpliwości wysadzał pyszczek z gniazda na piecu i wymyślał.

– Czółgaczu plugawy, zjadaczu stonóg, pantoflarzu obmierzły, bodajżeś się żabą udławił. Oka zmrużyć nie daje ten robaczarz!

W dzień Kuba, szperając po kątach, zaglądał i za poręcz kanapy, zatykał tam orzechy, które spadały na śpiącego Tupcia, że się budził i fukał rozsierdzony.

– Hecarz, sowizdrzał<sup>8</sup>, błazen, ryże straszycło, ptasie pośmiewisko! Bodaj ci żywica ogon do nosa przylepiła, bodaj ci się gęba na zębach nie zamykała!

Całą zimę warchoła trwał, a jeśli mieli kiedy coś wspólnego, to tylko nienawiść dla taksicy Działdzy. Ta wprawdzie mieszkała w stajni, ale wpadała kiedy niekiedy wszędzie węsząca, wszystko pędzająca, wrzaskliwa i dokuczliwa nad wszelki wyraz.

Było to zatrucie zimowli. Kuba, chociaż bezpieczny na szczycie pieca, dostawał palpitacji serca i oburącz cisnął wzburzoną pierś; Tupcio pod kanapą dostawał wątrobianego ataku i astmy.

A tego dnia właśnie, korzystając z zamętu wyprawy, Działdzia wśliznęła się do domu, wzniciła straszny popłoch.

Zapędziła Kubę na szafę i do utraty tchu naszczekała mu pogroźek i impertynencji; potem zwęszyła Tupcia w starym bucie Pantery i nie mogąc się doń dostać, włóczyła go wraz z butem po całym pokoju. Na tym ją zaszedł Rosomak, złapał za kark i sromotnie za drzwi wyrzucił, ale domownicy byli w zupełnej rebelii.

Tupcio był tak rozsierdzony, że razem z butem podskakiwał i fukał:

– To to tak! Nie chcę was, nie chcę do lasu! Nie tykajcie, precz, precz, zdrajcy, fałszywe opiekuny i przyjaciele! Ta wasza służka chciała mnie zjeść, może zjadła! Nie czuję, czy jeszcze żyję z alternacji.

– Fiut, nie ma głupich! – skrzeczał Kuba, z ręką na sercu, z wyżyn szafy. – Ani zejść stąd, ani z wami jędę. Nikt w moim rodzie nie słyszał tyle obelg, co ja od tej pokracznej karlicy. Albo ona, albo ja, wybieraj! Nie zejść, choć ciekawym, co masz w garści. Choćby i słonecznikowe ziarno! Mam swą ambicję! Dałeś mnie na pastwę tej poczwarze. Gdzieś był, jak mi tu urągała? Nie, nie zejść!

– Nie, to nie! – rzekł Rosomak, garść orzechów chowając w zanadrze, i wziął but z Tupciem.

---

<sup>6</sup> glon (gw.) – pajda, kromka. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> hołoble – dyszle, w które zaprzęga się konie. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> sowizdrzał – żartowniś. [przypis edytorski]

– Tupciu, bestii nie będzie w lesie. Bonować<sup>9</sup> będziesz spokojnie. A pamiętasz, ile tam tłustych glist i robaków, jakie miękkie wykroty do spania! A w chacie ile i kiedy zechcesz mleka i sera, i rybie wątróbki. Wyleżże z tej cholewy! Czy ci nie wstyd, by cię jak dzikusa wozić razem z butem?

– A właśnie chcę spać w bucie! – fuknął już spokojniej Tupcio i znieruchomiał.

– No, Kuba, zostajesz? Bo mi się spieszy. Żegnam cię – okno otwarte.

– Co masz w kieszeni, pokaż? – Kuba spadł mu na głowę i dał nurka w zanadrze. Rozległo się zajadłe piłowanie skorupy orzecha i mruczenie zadowolenia. Pokój był zawarty.

– Gotowe! – wetknął głowę przez drzwi Żuraw. – Zabierz jeszcze skrzypce i ruszajmy.

– Na wyraj, jazda! – zakomenderował Rosomak, lokując but z Tupciem i siadając sam byle jak, z nogami poza drabiną.

Uczepił się wśród tobołków Żuraw, przysiadł na drążku Pantera-woźnica, parsknęła ochoczo klacz, zabamboliła Hatora i tabor ruszył.

Wyjechali za wrota, na drogę polną, wyboistą i błotnistą, spojrzeli w dal na siniejącą linię borów; objął ich dech szerokiej przestrzeni, rozprężył płuca, barwą się wybił na lica, zapalił ogniem radości stęsknione źrenice.

– Hejnał, wodzu! – upomniał się Pantera.

A Rosomak ziemi, błękitom borów i pól rzucił:

Czas ci już wstać, czas ci już iść,  
Hetmanko polnych rot!  
Oto ci na hełm borowy liść,  
Oto ci w rękę rozmaju kiść,  
Oto twój złoty grot!

Powiedziesz ty, powiedziesz nas  
Na ten słoneczny szlak,  
Gdzie kwitnąć sercom i pieśniom czas,  
Gdzie szumu czeka uśpiony las,  
Gdzie czeka lotu ptak!

Powiedziesz ty, powiedziesz świat  
W zwycięski pochód twój,  
Gdzie z prochów świeży wykwita kwiat,  
Gdzie brzask wybucha zza nocy krat,  
Gdzie stoczysz życia bój!

---

<sup>9</sup> bonować (daw.) – hulać, używać życia. [przypis edytorski]

## Osiedle

Mijali łany orne i siewne, ludzkie osady, rozstaje, łąki od kaczeńców złote i kierowali się wciąż ku borom.

Szlak się czynił coraz niewyraźniejszy, a bory z wąskiej smugi stawały się ciemną ścianą. Aż, jak przednie strażę, zabiegły drogę stare sosny na wzgórkach, a za nimi szeroką ławą, bez kresu stanął zwarty wał chojarów, podszytych jałowcem i wrzosem. Powitał ich poszum cichy i uroczysty, jakby modlitewny, a niosący kadzidlane wonie żywicy, i wjechali w boży chram boru. Wszyscy odkryli głowy, spojrzeli w górę, poruszyły się wargi odzewem dusznym owego powitania. Nikt się nie odezwał, słuchali cali w sobie skupieni.

Prowadziła klacz. Bez namysłu wybierała jakieś szczeliny wśród drzew, ledwie widoczny ślad, nie wahała się na zawrotach, na wąskich przesmykach wśród mokradeł, odnajdywała jakieś kładki na zdradnych oparach, kołowała, kluczyła, tak pewna swej pamięci, że tak sobie stępa idąc, obrywała to kiść szuwaru, to gałązkę brzożową, to łozowe kocanki i gryzła dla zabawy.

Grunt się obniżał. Jechali przez grobelki, klecone przed wiekami z bierwion dębowych, kędy może kiedyś szły szwedzkie lub kozackie wojska, obrzeżali szmaty torfowisk, wycierali ślad wśród łoż sążnistych, ginęli w chaszczach trzciny i sitowia; słońce mieli w oczy i plecy, na lewo i prawo, a wreszcie szlak był już tylko ich własny, tyle znaczny co ścieżka przez łośia wydeptana.

Aż z gęstwiny błysnęła woda, ruczaj, w długi bród rozlany, ginący dalej w łożach, graniczny ruczaj ich letniego królestwa.

– Ot i nasz Tęczowy Most! – rzekł Żuraw. Wszyscy trzej wydali długi, specjalnie swój okrzyk, zwykły akord, którym się rozproszeni na wyprawach zwoływali.

Klacz weszła ochoczo w bród, schyliła głowę i muskając wodę wargami, szukała najwyższego prądu, tam stanęła i zaczęła pić. Hatora poszła za jej przykładem i ludzie zaczerpnęli też wody w dłoń.

– Pijmy jak z Lety. Zapomnienie tamtego świata! – rzekł Rosomak.

– Smaczna jak brzożowy sok. Niczym wino! – dodał Pantera.

– Roi się od zarybku. Widzicie, na piasku chmara! – zauważył Żuraw. – O, i kaczor zielonogłowy tam, pod łożą.

Zwierzęta napojone podniosły ściekające wodą nozdrza, rozejrzały się. Zarżała klacz, targnęła postronek Hatora, czuły już swe letnie pastwiska. Nawet Kuba, na ramieniu Rosomaka rozsiadły, mierzył okiem odległość do pierwszej brzozy za wozem i ledwie z brodu się wydostali, dał susa i już był na szczycie.

Ludzie zeskoczyli. Puszczono na wolę Hatorę. Rosomak wziął klatkę z przezimowanymi kuropatwami i koszyk z zającem, który też pod opieką Pantery chował się w domu. Wypuszczony szarak nie bardzo się kwapił, stanął słupka, zawęszył, słuchy nastawił, obejrzał się na człowieka i powoli pokicał ścieżką wśród wrzosowisk. Kuropatwy, jak szare kulki, pociekły rzędem za nim.

– A nie złorzeczenie ludziom, choć wy niebogie zwierzęta-męczenniki! My waszej niedoli niewinni – szepnął Rosomak.

Gdy do wozu wrócił, był sam. Towarzysze, porwani szalem swobody, pognali na piechotę. Kuba im towarzyszył wierzchołkami drzew, klacz ruszyła też już zupełnie bez drogi, w wiadomym sobie kierunku.

Dopędził ją Rosomak i szedł obok pieszo, kierując, by wóz o drzewa nie zaczepił; ale i on był innym zajęty.

Czytał historię zimy swego kraju.

Tu już znał każde drzewo, każdy kęs ziemi i wszystko witał jak najmielsze towarzystwo. Las, który dlań nie miał tajemnic, opowiadał, pokazywał, chwalił się, skarżył.

Oto sosna ze starym gniazdem rabusia krogulca; a oto druga, co się wygięła i okaleczała, zdeptana kiedyś za młodu; a oto brzoza z ogromną czeczotą i olbrzymia jarzębina, którą nazwali

Krasawicą, tyle miewała koralu jesienią; i piorunem na pół rozdarty grab, co się po ciosie odmładzał, czerniejąc smugą rozdartego na poły pnia; i oto brzoza, zwalona ciężarem zimowej okiści; i pękata wierzba z dziuplą, w której już gospodarzyły dzikie pszczoły. I oto olbrzymie mrowisko, już rojne, państwo wielkich, czarnych borowych pracowników, usłane białymi grudkami żywicy i ze śladami zimowego grzebania cietrzewi; a oto wykrot olchowy, pełen dziur, szczelin, przepaści, korzeni, wydartych do połowy z ziemi mocą huraganu, kryjówka wężów i żmij.

Bór gwarzył cichutko; to znów słycać było, jak dyszał potęgą odrodzenia wiosny, a człowiek, zapatrzone, zasłuchany, zatracił się w tej wielkiej potężnej całości i czuł, że te siły ogarniały go, że sam się staje potęgą, że w nim gra, śpiewa, tworzy, rośnie moc przyrody.

Za brodem grunt się podnosił. Osiedle leśnych ludzi było jakby wyspą wśród nizin, błot, bagien, porzniętych siatką rzeczulek, porośniętych nieprzebytymi chaszczami.

Na wyspie tej, żyznej bajecznie, bujała puszcza w całej sile wzrostu, śmigają ku słońcu brzozy, jak taneczniczki smukłe, zielone swe gazy kołysząc, mały się graby urodziwe, jak parobczaki, parły się jedne przed drugimi do nieba olchy, jesiony, dęby, lipy, jarzębiny, klony, a dołem, jak snopy leszczyny, kaliny, czeremchy, kruszyna, aż zupełnie przy ziemi stały się zwały malin i jeżyn. Na polankach wśród boru białe było od zawilców i puszczała się trawa jak tło kobierców, które lato tkać miało. Przeciągły okrzyk towarzysów zbudził z zachwytu Rosomaka; spojrział na słońce, z lekka trącił żerującą klacz.

– Do chaty, Łatana Skóro! Nam się też obiad należy. O, jest i posłaniec!

– Chr, chr – ozwał się wśród gałęzi i Kuba mu spadł na ramię, otarł o policzek i już był w kieszeni – po orzechy.

W lewo, w prawo, pod warkoczami brzoź, przez wieńce i bramy z kwitnącej czeremchy, aż zaczerniał wielki krzyż dębowy z figurą pod daszkiem i roztoczyła się szeroka polana, ścianą boru odcięta, a w jej głębi chata leśnych ludzi.

Ściany złociły się patyną żywicznych bali i jak koronka snuły się po nich pnące róże i wino. Niska, dostatnia, z podniesieniem wygodnym, ale jeszcze po zimowemu zawarta, ubezpieczona okiennicami.

Przed nią był ogródek otoczony płotem, „wirydarzyk Żurawia”, który tam hodował różne leśne kwiaty, starannie uzbierane i przesadzone, i lipa cieniła ją nieco od skwaru południa.

Pantera i Żuraw czekali u furtki i wnet zaczęli raport.

– Kos ma gniazdo w winie, przy ścianie. Modraczka mieszka w skrzynce na lipie. Konwalie się wytykają. Żmije znaleźlim na podsieniu. Jeść się chce!

Małomówny Rosomak wyłożył klacz, zawiesił uprząż na kołku pod dachem i wtedy dopiero wydobył klucz i otworzył chatę. Wionęło na nich chłodem zimowego wnętrza. Minęli sień; za nimi do izby weszło słońce i ozłociło glorią koronę Częstochowskiej Pani, królującej na ścianie wprost drzwi.

Odkryli głowy i Rosomak powitał Majestat narodu pierwszym słowem i pokłonem:

– *Salve Regina Mater misericordiae, vitae dulcedo et spes nostra – Salve*<sup>10</sup>

Trójgłos zgodny, uroczysty, radosny napełnił izbę.

Potem Rosomak zapalił lampkę przed obrazem. Żuraw położył na stole bochen chleba. Pantera zdjął sztaby okiennic. Wiosna całą barwą i ciepłem wionęła do izby.

– Oho, kwaterunek zimowy nie chybił! – zaśmiali się.

W jednym kącie na ławie myszy leśne zbudowały gniazdo wielkości snopa, w drugim kącie roztaczało się pod ławą mrowisko. Zaczęto wypraszać intruzów, a Żuraw zabrał się do gotowania posiłku. Dym wybiegał na dach: chałupa ożyła.

W otwartym oknie siedział Kuba, przypatrując się robocie. Kite miał na głowie zadartą jak pióropusz i udając głodnego, gryzł szyszkę, wypluwając ogryzki na czołgających się pod ławami ludzi.

<sup>10</sup> *Salve Regina Mater misericordiae, vitae dulcedo et spes nostra – Salve* (łac.) – Witaj Królowo, Matko Miłosierdzia, życia słodczy i nadziejo nasza, witaj! [przypis edytorski]

Ale że oni, bardzo zajęci, nie zwracali uwagi, zajął się Żurawiem.

Ten, nastawiwszy garnki w kuchni, zabrał się do rozpakowania wozu i znosił worki i supelki, garnki i pudełka do spiżarni w sieni. Podobało się to Kubie. Wszystko obwąchał, spróbował, przeprowadził, wreszcie wynalazł pudełko ze słonecznikowym ziarnem i bez ceremonii zaczął je przegryzać.

– Nie psuj – usunął go Żuraw.

Tedy się Kuba rozjuszył.

– Moje, moje, moje! – zaskrzeczał.

– Twoje, ale nie na teraz. W skórze się nie zmieścisz, obżartuchu!

– Moje! Dawaj! – wrzeszczał Kuba.

– Nie dam, łakomcze! – zniecierpliwił się Żuraw.

Nastąpiło kotłowanie, rejwach i nagle ze spiżarni wyleciał Kuba rozfukany, z nastroszonym pióropuszem, wdrapał się na szczyt lipy i stamtąd skrzeczał i krzyczał.

– Co się stało? Co Kubie za krzywda? – zawołał Rosomak troskliwie.

– Krzywda! Właśnie! – odparł Żuraw. – Zepsuł trzy worki, pogryzł pudełko, ukąsił mnie w ucho, a teraz krzyczy ratunku! Kończcie, bo krupnik gotów!

– Oj, i moje kiszki gotowe! – wyprostował się Pantera. – Przepłoszyliśmy mrowie, umietli, reszta na potem! Jeść!

– Naprzód domownicy! – przypomniał Rosomak.

– Prawda! – zakrzętał się Pantera.

Rzucił się do spiżarni, do sieni i wyniósł przed furtkę dwa pełne wiadra, jedno kartofli, drugie owsa. Wtedy zdjął ze ściany w izbie trąbkę i zagrał pobudkę.

Dźwięk uderzył w ciszę, poleciał w las, rozdygotał powietrze, a był to sygnał dobrze snadz znany, bo odpowiedziało mu rzenie i daleki odgłos kołatki Hatory. Oparci o płot leśni ludzie czekali. Pierwsza zdażyła klacz i parszając z uciechy, wnurzyła łeb w obrok; flegmatyczniej nadciągała Hatora, Pantera przykucnął do jej boku ze skopkiem.

– Pięknie proszę o „mlimli”, Hator! A nie żałuj, bośmy zdrożeni i świeżo osiedli! – przemawiał do niej przypoehlebnie.

– Obiad na stole! – zawołał Żuraw z izby.

Na białym stole klonowym pod obrazami leżał bochen chleba, parowała misa pięknie malowana, leżały drewniane łyżki.

Gospodarny Żuraw już nawet więzią kaczeńców ozdobił nakrycie. Zajęli swe miejsca na ławach i jak ludzie rzetelnie głodni czerpali z misy w milczeniu. Asystował Kuba, próbując z każdej kromki chleba, aż z niesmakiem otarł pyszczek o rękaw Rosomaka, skoczył na ramę okna i zabrał się do południowej drzemki.

Stanowczo ludzie jadają niesmaczne rzeczy – pomyślał z grymasem, przymykając oczy.

Gdy łyżki zagrzechotały po dnie misy, Rosomak rzekł:

– Ja zaraz czółnem ruszę, rybne tonie obejrzę i kosze zastawię. Pantera obejrzy i do porządku doprowadzi stajenkę dla domowników. Żuraw chałupę do reszty wyczyści i obejrzy warzywnik. Jutro wszyscy razem grzędę skopiemy i obsadзим.

– Przede wszystkim ja bym rad zmienić skórę – rzekł Pantera, patrząc po swym ubraniu.

– Ano, idźcie do komory i przebierajcie się, ja ino fajkę wypalę! Chodaki też trzeba namoczyć.

Komora była za sienią, szeroka, widna. Tam też nocował Rosomak z Żurawiem. Pantera miał swe posłanie w alkierzu za izbą.

Gdy leśni ludzie wrócili do izby, byli zmienieni zupełnie. Mieli na sobie tylko szare płótno, na nogach lekkie lipowe chodaki; pas rzemienny z nożem w pochwie obcisnął luźną kurtkę; na głowie filcowy kapelusz.

– Dopiero las nas za swoich uzna! – zaśmiał się z uciechą Pantera, biorąc siekierę i zabierając się do swej roboty około stajenki. Żuraw zaczął zmywać statki<sup>11</sup>, więc się i Rosomak ruszył.

Przebrał się i on, rozprostował z rozkoszą członki, wyładował z wozu swoją osobistą skrzynkę, pełną książek zoologicznych, przyrządów do kolekcji przyrodniczych i tysiące drobiazgów, których do studiów używał i strzegł jak oka w głowie.

Potem umieścił wysoko w podsieniu w pułapu stary rękaw od kozucha, nocne mieszkanie Kuby, i but z Tupciem położył u węgła, a wreszcie obładował się koszami na ryby, wziął wiosło, siekierę i poszedł do czółna. Miało ono swą przystań za krynicą, pod starą olchą nad strugą. Rosomak wylał ze dna deszczową wodę, władował kosze, odczepił łożową wić i odbił od brzegu.

Droga była bez kresu, bo błotne obszary zalane były wodą i płynąć można było, kędy wola, wśród łoż ledwie zieleniejących i młodych pędów szuwarów. Na wodzie stał się „czarnyglów”, ulubiona wiosenna pasza Hatory i klaczy, toteż je spotkał żerujące po brzuch w wodzie.

Podniosły łby i rozmówili się „po leśnemu”.

– Dobrze, zdrowe! – parsknęła Łatana Skóra.

– Trochę za wodniste! – zamruczała Hatora.

Pogłaskał je z czółna i ostrzegł:

– A pamiętajcie nie iść do topieli za krynicę, skąd was wywlekliśmy na sznurek zeszłego lata. I nam, i wam mało brakowało do śmierci wtedy. Pamiętajcie, łakomce!

Chmury błotnego ptactwa rajcowały nad tą płytką wodą. Hryce, czajki, kuliki, bekasy wrzask czyniły weselny; miodem pachniały złote kiście łożowe, balsamem pękające brzozy i olszyny; wiosło zgarniało złote kaczeńce i kępy wodnej mięty, a słońce, cuda czyniące, śmiało się do swego dzieła.

Rosomak dopłynął do chruścianego płotu rybackiego i świadomy gruntu czółno o kolek wicią zaczepił i wszedł w wodę.

Zrewidował, brodząc, całość płotu, szczeliny łożą obetkał i w gardziel, kędy nurt biegł, kosz zastawił.

Nie spieszył, robił powoli, obserwując, zachowując praktyki rybackie, wnioskując o połowie wedle spostrzeżeń różnych, robotą swą tak zajęty, jak skrzydlate rybołowy krążące nad nim bez trwogi.

Bo leśni ludzie znali zasady obcowania z naturą. Unikali gwałtownych ruchów, hałasu, płoszenia, gonienia, trwogi.

W chałupie była strzelba od wypadku, ale wypadek zdarzał się niesłychanie rzadko, chyba sąd nad niepoprawnym zwierzęcym zbrodniarzem. Z kołatką Hatory, z trąbką obiadową zwierz i ptak oswajał się rychło i wiedział bór cały, że od tych trzech ludzi nie przyjdzie żadna napaść i krzywda.

Szara, mała łódka, szary w niej człowiek garnący wodę powolnym ruchem wiosła – był to obraz znany ptactwu, codzienny, pospolity, tak że czajki nie urządzały swych forteli, by go od gniazda odprowadzić, a stadka cyranek żerowały nietrwożne przy szlaku łodzi.

Rosomak założył drugi kosz i trzeci, opłynął najlepsze tonie i zatoki, przepatrzył różne rybie kryjówki, odnowił zeszłoroczne znajomości ze współtowarzyszami leśnego bytu i zupełnie o czasie zapomniał.

Bobrował<sup>12</sup> właśnie po zakątkach jeziora, w które się ruczaj rozlewał u wzgórzy piaszczystych na zachodzie, gdy nagle rozdarł powietrze drapieżnie wielogłosey okrzyk przeciągły.

Była w tym chrapliwość bojowych starodawnych surm i jakby wołanie i odzew strażniczej czujności.

– Hej – czuj – stróżuj! Hej – czuj – stróżuj! Wieczorne tuż zorze – wieczorny – tuż czas! Hej – czuj – stróżuj!

To z błot niedostępnych dawały wieczorny sygnał żurawie-wartownicy.

---

<sup>11</sup> statki (daw.) – naczynia. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> bobrować – przeszukiwać, poszukiwać czegoś. [przypis edytorski]

Rosomak spojrzął na słońce i posłuszny hejnałowi zwrócił łódź ku chacie.

Czuby drzew były już czerwonożłote, z ziemi wstawały srebrne mgły, ptactwo śpieszyło to z posiłkiem, to z ostatnim żdźbłem na gniazdo, bo czas nadchodził wieczornych pacierzy i spoczynku.

Spóźnię się! – pomyślał Rosomak, bo śpieszyć się nie mógł, by nie płoszyć i trwożyć reszty mieszkańców.

A hejnał leciał po trzykroć, coraz przeciąglejszy, stanowczy.

– Wieczorne już zorze! Wieczorny już czas! Hej, czuj, czuj!

Zawrzało całe błoto rajkotem kum-żab, zielonogłowe kaczory poczęły pluskać na szersze wody i chrapliwie wabić; mgły zakołysały się do tańca, ruczaj się pomarszczył od żerujących ryb; górą na niebie białe obłoczki, jak róże, zakwitły, drozd śpiewak na szczycie olszyn począł wydzwaniać na pacierze. Wieczór był!

Gdy Rosomak przybił do chatnej polany, i tam panował ruch kończącego się dnia.

Żuraw z Kubą na głowie wracał z wiadrami od krynicy, Pantera w obórce rozprawiał się z Hatorą, klacz przed furtką dopominała się wieczornego obroku.

– Witajcie, wodzu! Nie mogliśmy się doczekać!

– Albo co?

– Bo mamy mnóstwo nowin. Na strychu zimowała sowa i dotąd mieszka: pełno mysich skórek.

Kuśnierz niecnota!

– Pewnie też nie brak piór sikorzych. Trzeba ją będzie wyprosić.

– A w obórce jest ten sam wąż wodny; wyrósł z pół łokcia.

– W trzech skrzyniach przy chacie już osiedliły się bogatki, a w jednej krętogłów.

– Nasza dzika grusza biała jest jak panna młoda.

– Orzechów będzie mnóstwo. Leszczyna czerwona od kutasików!

– We wrzosach przy warzywniku cieciora siedzi na sześciu jajach.

– Tupcio już poszedł na swój chleb.

– Pszczoły żyją w barci; mocno chodzą.

Stanął Żuraw z wiadrami; z obórki wyszedł Pantera ze skopkiem mleka, przyszła do kompanii klacz i gwarzono na środku polany. Łatana Skóra powtarzała wciąż jedno: – Obroku, obroku, obroku!

– Zapchajże jej gardło, Pantero! – zaśmiał się Rosomak.

– Ale! Tej sztuki nikt nie dokaże. To nie brzuch, to otchłań! Chodźże, beczko bezdenna!

– Olaboga! woda mi kipi! – dosłyszał Żuraw i kopnął się do chaty.

Rosomak wziął w ręce zaspanego Kubę i wsunął w rękaw u pułapu; zaskrzypiały wierzeje stajenki za kłaczą, chwilę słyhać było rąbanie szczap, brzęk statków w izbie. Powoli cichły odgłosy pracy i starunku; na niebie gasły zorze zachodu.

Ale oni się nie kwapili do izb i jadła.

Wokoło po wszystkich drzewach i krzakach, łożach i szuwarach, po wodach, ziemi i niebie rozpoczynał się ostatni akt dnia i wieczorne wszelkiego stworzenia pacierze.

U podsieni swego gniazda leśni ludzie usiedli na dębowej podwalinie, zapatrzyli się, zasłuchali, umilkli.

I z cicha Rosomak zaczął:

– Pochwalony bądź, Panie, coś te cuda uczynił. Pochwalony bądź i błogosławiony głosami, i sercami nas tu wszystkich, w boru żyjących. Dzięki Ci, Panie, za to niebo pogodne, za dzień słoneczny, za zielen drzew, za ten wieczór, za życie! Święci się Imię Twoje w tej ptasiej pieśni i w naszej duszy, ku Tobie otwartej, jako te ptaki i kwiaty; i Królestwem Twym niech będzie ten zakątek, a wolę Twą uszanujemy, jako ją szanuje wszelkie stworzenie, uznając Twą mądrość, moc i miłość. I ufni jesteśmy, że jako mrówce i kwiatom, tak i nam pożywienie zgotuje słoneczny dzień jutrzejszy na Twe rozporządzenie. A winom naszym wybaczej, Panie, bośmy przed Tobą głupi i mali, i przeto grzeszni!

A nie daj nam, Panie, złą myślą lub czynem zakłócić tego bezludzia, gdzie rządzi Twoje tylko przedwieczne prawo i ład, i zachowaj nas, Ojcze, jako robaczka w dłoni, bezpiecznie!

– Amen, amen, amen! – świergotały ptaszki, szemrały brzozy, ćwierkały owady i stłumionym szeptem potwierdzili leśni ludzie. Cichło wszystko, pociemniały tajemniczo gąszcze, gasły barwy.

Ale znad drzew wystąpił sierp miesiąca i osrebrzył oblicze Chrystusowe na krzyżu, który od dołu w mgły wtulony, zda się, nad ziemią płynął jak zjawisko.

Ochłodzone rosą powietrze wionęło wonią miodu i balsamu, na brzózkę u krynicy zleciał słowik-lutnista, żabie kapele uderzyły w basetle; bez szelestu krążył nad polaną lelek, polując na ćmy... Ukojona w ciszy wielkiego spoczynku zeszła na ziemię noc.

I tak skończył się pierwszy dzień bytu leśnych ludzi.

## Dzień chyżej Pantery

Pantera sypiał w maluchnym alkierzyku za izbą, ale tej pierwszej nocy budził się co chwila, wyglądając ranka.

Zrazu z izby widział tylko rubinową lampkę przed obrazem, ale rychło otwór okienny począł się rozjaśniać nadchodzącym świtem, więc leżąc bezsennie, słuchał, kto się pierwszy obudzi.

Słyszał bełkotanie cietrzewi, żalosne „pau, pau” lelków, dalekie pobekiwanie kozłów, chichot sowy i rozełkane, namiętne trele słowicze – pieśń nocy.

Wreszcie odróżnił inną śpiewkę.

– Ledwuchna zaczyna! – szepnął.

Jakby na dany sygnał, słowik ścichł. Basetle-żaby podtrzymały dalej swój wtór, ale już z kryjówek ozwało się pojedyncze cirkanie: Czy już, czy już?

I nagle z błot uderzył ranny hejnał żurawich stróży.

– Hej – świt – luzuj – luzuj. Bywaj – na dzień! – Pan idzie na świat! – Hej – czuj – hej, świt!

Trysnął od razu cały tysięczny chór. – Świt, świt! Pan jest! Życie, życie! – Las witał dzień.

Pantera się zerwał i w bieliźnie, bosi, wyskoczył oknem.

Połana była wybrukowana opalami rosy; powietrze wilgotne, wonne, ciepłe, ptaki chędożyły pióra, przeciągały skrzydła, leciały do wody.

Pantera też rozprężył ramiona, otarł twarz wilgotną gałęzią brzozy i pobiegł do ruczaju, do kąpieli.

Gdy wyszedł z wody, wytarzał się w trawie, pobiegał po łące i czerwony jak rak wrócił do chaty.

Z gniazda swego u pułapu wysadził pyszczek Kuba, ale tylko ziewnął i schował się na powrót.

– Maczałbym szubę na takiej rosie! Dobrze to dla gołych – zamruczał lekceważąco.

Pantera się ubrał, wziął skopek do doju i poświstując, poszedł do swych obowiązków. Wypuścił klacz i zbudził Hatorę.

Stalowszary wąż wodny ogrzewał się u jej boku i ledwie się nieco usunął, gdy krowa wstała.

– Kis, Kis! Chcesz mleka? – przemówił doń Pantera. Chciał zapewne, bo czekał, asystując.

Hatora, oddawszy swym opiekunom daninę, poszła za klaczą. Pantera ułał nieco mleka w skorupę garnka.

– Masz, Kis, Kis! I marsz po żaby! – rzekł do węża. Postawił mleko w sieni do dyspozycji Żurawia, zajrzał przez szczelinę do komory, ale było tam ciemno i cicho.

– Ot, śpiochy! Z tego mieściska przywożą tylko złe obyczaje. Wstyd przed całym lasem. Ale dla mnie to w deseń!

Usiadł na przyzbie, ozuł chodaki, schował do kieszeni kawał chleba, zatkał za pas siekiere, spod strzechy obórki dobył jakieś zawiniątko i ruszył do czółna.

Ale po drodze strzelił mu do głowy figiel. Złapał żabkę, wrócił do izby i wpakował ją do pudełka od herbaty.

Żuraw dopiero skoczy, jak mu bestia pryśnie do oczu – pomyślał.

Teraz kolej na wodza. Pantera ruszył czółnem do koszów rybnych i każdy naładował jakimś cudacznym przedmiotem przywiezionym w zawiniątku: do jednego włożył koński czerep, do drugiego stary kalosz, do trzeciego wypchaną króliczą skórę i chyłkiem czółno do przystani odprowadził.

W chacie już był ruch; rozmawiali, dym walił kominem, pachniała kawa.

Chwilę się Pantera zawahał. Wódz kazał kopać warzywnik, ale on tylko trochę w las poleciał, kąty obejrzy, wyhula się, no i wróci z jakąś nowiną i zdobyczą. I pognał! Darł się przez najgęstsze łoży, prześlizgiwał się pod zwałami, taczał po kobiercach z zawilców, przedrzeźniał ptaki, gwizdał, śpiewał; spłoszył z legowiska sarnią rodzinę i chwilę ją gonił.

– Ot, na kark skoczyć, za rogi uchwycić i gnać, gnać! – szepnął wreszcie zziębnięty, bez tchu, patrząc, jak sadyli przez moczary. Legł pod brzozę, poczuł głód, pragnienie i rozkoszną senność.

Chleb miał, wody nie brakło, ale jako smakosz, brzozę zaciął, czarkę z kory zagiął i chleb sokiem popijał.

– Leniwie się sączy. Poszedł w paki! – Ziewnął wreszcie, wyciągnął się i zadrzemał.

Zleciały się zaraz ciekawe sikory, obejrzały go i wróciły do roboty; parę zięb budujących gniazdo na tejże brzozie udawało chwilę, że tylko w przelocie tam się znalazły, ale uspokojone dalej kleciły kunsztowny domek; tuż niedaleko bekas zapadał, pobekując. Słońce wytoczyło się wyżej i zbudziło śpiocha. Spojrzał na niebo – na cień drzew i zerwał się.

– Dziesiąta godzina! Oni pewnie przy robocie. Nie pokażę się bez jakiejś zdobyczy. Ale co? – Zaczął szukać. Zaraz dojrzał podwaliny ziebiej chałupy, ale to nie było nic osobliwego; po chwili myszkowania znalazł na kępie dwa jaja bekasa – także pospolitość! Wreszcie dopatrzył na dalekiej brzozie wśród błota żółty bukiet jemioli.

– Aha, to dostanę! Wódz chciał w chałupie powiesić. Jazda!

Wody na bagnie było za mało na czołno, a o krok od lasu zaczynała się topiel.

Trawy i kępy tworzyły tylko cienką skorupę, która pod stopą się chybotą i rozdzierała. Trzeba się było czołgać.

Pantera naciął łoży, związał w pęki, wmocował pod pachami na piersi, w rękę wziął długi drag, położył się i rozpoczął awanturniczą przeprawę.

Czołgał się, nogami i łokciami popychał, zapadał w szlam, kaleczył się o szuwały, darł bieliznę, wypływał wodę i błoto i po trudach nieludzkich dobrnął.

Był zlany potem, ociekający wodą, czarny od szlamu i już prawie bez odzieży, ale zwycięzca. Zaraz się wdrapał na brzozę, siadł konno na gałęzi, dał się słońcu osuszyć, a wiatrowi ochłodzić i rozejrzał się.

– Głupiec ze mnie! Trochę w prawo jest garb i grzebień z łoży. Wróć jak szosa! Ale stąd widać i żurawie leże! Ot, krążą! Trzeba się będzie do nich dostać tego lata. To będzie wyprawa!

Wyrąbał jemiolę i zabrał się do odwrotu. Owa „szosa” była o tyle wygodna, że na „garbie” tylko dwa razy zapadł po szyję, a na „grzebieniu” z łoży zostawił resztki garderoby i prawie tylko w czarny szlam odziany, stanął na twardym gruncie.

Wtedy, widząc, że jest blisko południa, pognął do osady.

Po drodze usłyszał trąbkę i spotkał Łataną Skórę, dążącą na obiad, więc na nią skoczył i tak zajechał przed furtkę.

– Jezu, Mario! Leśny upiór, nie człowiek! – krzyknął Żuraw.

– Jemiola dla naszego Patrona na pierwszy bukiet! Gwałtu, jak mi się jeść chce! Ucho ci, Żurawiu, odgryzę, jeżeli misy nie ma na stole.

– Zaraz ci tu wyniosę wiaderko, brudasie! – rzekł, śmiejąc się Rosomak.

Pantera zeskoczył z klaczy, fiknął parę kozłów i trochę na nogach, a przeważnie na rękach i głowie pognął do kąpieli.

– Ciśnijcie mi, wodzu, tu, w krzaki, świeży garnitur. Rozumie się, że do obiadu należy się przebrać. Biały krawat, smoking, gardenia w butonierce! A jakże! Hatorę pod rączkę do stołu poprowadzę! – Kąpał się, pluskał, szorował, przebierał, a wciąż myślał, czy Rosomak był u koszów. Zapytać było nijak, a po ich minach, gdy zasiedli do misy, nic nie mógł poznać.

Mówił każdy o swoich zdobyczach: Żuraw znalazł rzadki kwiat – obuwik. Rosomak wypatrzył gniazdo krogulca; skopali parę zagonów na kartofle, mieli jutro sadzić warzywa.

Po obiedzie spoczęli godzinę i już we trzech poszli do roboty. Grzędy pod warzywo wykarczowali już od lat paru, więc ziemia była pulchna; piękny czarnoziem nad ruczajem, otoczony płotem przed łakomstwem Hatory.

Pantera kopał zajadle, założywszy sobie, że nadrobi ranną „fugę”. Słońce grzało, pot im wystąpił na koszule. Wreszcie miało się pod wieczór.

- Nie zrewidujecie koszów, wodzu? – spytał nareszcie Pantera.
- Właśnie chciałem ci rzec, byś mnie wyręczył, bom się bardzo zmachał kopaniem.
- A kiedy ja... to jest... mnie... ja nie wiem, gdzieście zastawili – wykręcał się.
- Gdzież by? Tam, gdzie zwykle.
- Kiedy bo... może do jutra poczekać?
- Nie, właśnie pora! Dogódź sobie! Lubisz bobrować!

Nie było sposobu odmówić. Skrzywiony Pantera poszedł do czółna. Niespodzianki swoje znalazł w koszach i z irytacją powyrzucał. Figiel był chybiony, tylko po dziś dzień Pantera się nie domyśla, czy chytry Rosomak był rano u koszów, czy nie. W każdym razie zgodnie ze swą nazwą nie dał się w pole wyprowadzić, i to zatrulo dzień Panterze.

Wrócił bez humoru do przystani, rzucił do wiadra pęk nawleczonych na łożinę szczupaków, zdobycz rybną, i resztę dnia spędził, piorąc mozolnie swe zaszlamione szmaty.

## Dzień czujnego Żurawia

W komorze, kędy sypiali we dwóch, okiennica była zamknięta i koncert ptasi budził Żurawia. Wpół drzemiąc, rozkoszował się muzyką, ale się nie zrywał, bo czekał na rubinowy sygnał.

Wschód słońca uderzał w okiennice i prześwietlał żywiczne sęki, jakby latarki czerwone. Wtedy Żuraw wstawał.

Szedł zaraz z wiadrami po wodę do krynicy i czytał po polanie.

Ślady znać było na srebrze rosy: okrągłe kopyta klaczy, podługne racice Hatory, lekkie stopy Pantery. Od obórki wił się, jak tasiemka, ślad węża.

Kis wypijał mleko i siedł na łąwy. Ale miał zwyczaj skręcać do źródła i Żuraw go tam często spotykał. Wysoko wzniesiony nad wodą, przeglądał się, jak w zwierciadle, kołyszając się zalotnie.

– Gdzie też próżność nie mieszka! – filozofował Żuraw ubawion. – I ten się sobą zachwyca. Dobrze, że tu Ewy nie ma!

Wracał z wodą, rozpałał ogień, sprzątał izbę i siedł do kąpieli. Gdy się wypucował i ubrał, zastawał zwykle w izbie całą kompanię przy śniadaniu.

Wtedy rozważano robotę dzienną.

– Ja muszę ukosić szuwarów na ściółkę – rzekł Pantera. – Lada dzień będziemy mieli urodziny. Gadałem z Łataną Skórą: córki się spodziewa.

– Będzie jej pewnie Sroka na imię.

– Ja muszę być aż za Proszalną Brzozą, lizawki<sup>13</sup> dla sarn zrobić – rzekł Rosomak.

– Może byś poszukał raków w jeziorku, Żurawiu?

– Chyba po południu! Jeszcze ogródka nie doprowadziłem do porządku i mam kram z mlekiem.

– To mi daj soli w torbę i zostawaj zdrów!

Ozuli się. Pantera kosę wytoczył i poszli.

Żuraw statki pozmywał i zabrał się do swych ukochanych roślin. W małym ogródku przy chacie zabawiał się w aklimatyzację kwiatów leśnych. Przynosił z puszczy storczyki, dzwonki, amarantowe gladiolusy, rutewki, gruszyczki, spiree, walerianę i miał to wszystko w amatorskim starunku.

Wyciągnął się u grząd i oglądał plantację, gdy postyszał szelest u płotka.

Usunął się szybko z obawy przed żmiją, ale ujrzał zdziwiony Tupcia.

– Dlaczego Tupcio nie śpi o tej porze?

Jeż podniósł ryjek, jak mógł najwyżej, a człowiek leżał; byli tedy w pozycji do pogawędki.

– Może Tupcio głodny?

Nie, sądząc z tuszy, raczej był obżarty.

– Ale twarożku Tupcio zje? Prawda?

Wilgotny ryjek dotknął ręki. Miał jakiś interes, ale trzeba się było domyślić.

Pogłaskał go Żuraw po łagodnie złożonych kółkach.

– Przyjdzie Tupcio do izby; są świeżutkie rybie wątróbki.

Wstał i obejrzał się. Tupcio sunął powoli i nakuliwał. Tedy go wziął na ręce i obejrzał.

Tylne nóżka Tupcia była spuchnięta, a gdy jej dotknął, jeż zaczął fukać i drgać. Żuraw usiadł na przyzbie i kalectwo starannie zbadał. Pokazało się, że cała stopka była oplątana włosieniem<sup>14</sup>, który się wżarł w ciało i spowodował obrzmienie.

Odbyła się operacja, widocznie bardzo bolesna, bo Tupcio fukał i nóżkę targał, a nawet w najgorszej chwili ukąsił Żurawia, ale się nie jeżył i nie skręcał, a w końcu, gdy uczuł ulgę, rękę człowieka malutkim jęczyzkiem liznął.

---

<sup>13</sup> lizawka – specjalny pojemnik dla łownej zwierzyny, zawierający mieszankę soli mineralnych. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> włosień – pasożyt atakujący ssaki i ludzi. [przypis edytorski]

Dostał potem obiecanych rybich wątróbek i o ile to było możliwe, jeszcze napęczniał tak, że z trudem zasunął się w cholewę od buta i fuknąwszy na pożegnanie, zasnął do wieczora. Kuba przyglądał się operacji z okna, gdzie się na słońcu wygrzewał.

Także gust! – myślał. – Taki cudny czas przesypiać w jaskini. Rozumiem, że to się robi zimą, ale teraz? Idiota!

Żuraw spojrzął na słońce i zabrał się do gotowania obiadu. Na skrzyp drzwi od spiżarni Kuba się też przystawił. Żuraw był rozczulony jego przywiązaniem, ale po prawdzie Kuba, wskutek życia w dostatkach i bez troski pędzonego, stał się skończonym typem sybaryty.

Wstawał późno; dla nabrania apetytu trochę fikał po lipie, przez parę pierwszych dni dawał się namówić Rosomakowi lub Panterze na spacer do lasu; ale przekonał się wkrótce, że orzechów nie było na leszczynie ani ziarn w szyszkach, do ogryzania zaś pączków był za wielkim smakoszem: zostawiał to hołocie dzikiej.

Wiedział zaś, że pod opieką Żurawia w spiżarni była spora blaszanka z orzechami i druga z ziarnem słoneczników. Tedy nie odstępował Żurawia, a ten brał snobizm za przywiązanie i pał go, ile ten mógł wytrzymać.

Gdy Żuraw usiadł na przyzbie i obierał kartofle, Kuba ze swymi orzechami ulokował się obok niego.

Słońce podniosło się nad polaną, w rozgrzanym powietrzu bujały pierwsze motyle, ptactwo nieco ścichło, jak zwykle ku południu, i była taka cisza, że jednocześnie Żuraw i Kuba podnieśli głowy na jakiś niezwykły szelest na dębie.

Na gałęzi przy sęku siedziała dzika wiewiórka i gotowa do odwrotu, nieufna, zerkąła na pięknego, spasionego kawalera. Kuba nastroszył wąsy, skoczył na płot, wywinął parę koziołków.

– Chr-chr-chr! – zagadali do siebie.

Dzika cofnęła się i poczęła kawalera do siebie wabić; zaczęli się gonić wokoło pnia. Rozległy się chichoty, zaczepki, wreszcie popędzili oboje w puszcę po czubach drzew na wiosenne gody.

Gdy leśni ludzie zasiedli do obiadu, Rosomak zauważył brak współbiedniaka.

– Gdzie Kuba?

– Zbałamuciła go ruda zalotnica – odparł Żuraw.

– Także pora! Wszędzie po gniazdach już są małe, a ci się dopiero zabierają na gospodarstwo! – rzekł Pantera.

– Jeszcze biedaka sowa w nocy uchwyci.

– Ja go znam, niegłupi on nocować w wilgotnej dziupli – wróci do swego rękawa.

– Zgłodnieje niebożętko.

– To mu na zdrowie wyjdzie. Już się w skórze nie mieści, tak go pasiesz.

Zaraz po obiedzie Pantera założył klacz do wozu i ruszył po ściółkę. Rosomak popłynął do koszów rybnych. Znowu Żuraw sam został.

Sprzątał prędko statki, zabawił godzinę nad swym zielnikiem, wreszcie przypomniał sobie raki i zaczął zbierać potrzebne do tego połowu narzędzia.

– Właściwie lepiej by było brać je na rybne odpadki, ale tak się biorą na głębinie, z czółna. A że Rosomak czółno zabrał, chyba będę je, brodząc, z pieczar wypłascać – radził się Pantery, który właśnie ze ściółką nadjechał.

– Poczekaj chwilę! Zwiozę resztę i razem pójdziemy. Znam najlepsze pieczary.

– Dziękuję. Pewnieś już jakiś figiel dla mnie obmyślił. Dziś już miałem mysz w pudełku z proszkiem do zębów i zaszyte rękawy u koszuli. Dosyć na jeden dzień!

– To nie ja! Dalibóg!

– Więc któż? Może Rosomak?

– Nie, to „domowy”! Pewnieś mu nie postawił miodu w orzeszku na przywitanie!

– „Domowy” też pewnie powiesił wypchaną sowę Rosomaka na podsieniu, że nam ptaki spać nie dały od szarego świtu!

- On dziwy umie robić! Straszny psotnik!
  - I „domowy” węzową skórę włożył mi do pościeli.
  - A nie mógł to wąż skóry zmienić w twoim łóżku? Ty też w nim koszule zmieniasz.
- I Pantera, śmiejąc się, popędził klacz.

Żuraw wziął siatkę, na obręczy rozpiętą, torbę na raki i poszedł.

Dróg nie było w ich kraju, ale każdy miał w głowie mapkę i nigdy nie błędził, i zawsze szedł najprościej.

Z biegiem czasu przecierali ścieżyny tyle co zwierz i nigdy się w kierunku nie zawahali.

I Żuraw też zaraz z polany wnurzył się w gęstwę łozy, odnalazł zeszlóroczną kładkę nad wąską topielą, wydostał się na garb olszyną porośły, przebrodził parę strug, ominął grząskie torfowisko i wy kierował się jak strzała na wielki dąb na brzegu jeziora. Leżało gładkie, szeroko rozlane, zachodzące w łąd mnóstwem zatoczek. Naprzeciw białeły góry piaszczyste, jakby wyspa, i znowu tło stanowiła czarna ściana boru.

Pod dębem Żuraw się przebrał, został tylko w bieliźnie i w chodakach. Przewiesił torbę przez ramię i wszedł do wody. Zanurzał się po pas i trzymał się brzegu. Spód był dość grząski, a grunt wybrzeża pełen dziur i pieczar.

Żuraw co parę kroków siatkę w wodę zastawiał do dna, a nogą po tych pieczarach płoszył.

Gdy sieć podnosił, znajdował w niej wielkie żuki, muł, a za trzecim razem ujrzał ciemną skorupę i podniesione wojowniczo kleszcze.

– Jesteś – rzekł z triumfem, chwytając ostrożnie za grzbiet zdobycz i rzucając do torby.

Ogarnęła go zaciekłość łowiecka. Już nie patrzył ani na toń jeziora, ani na otoczenie, ani na słońce, tylko sieć zatapiał, podrywał i napelniał torbę. Aż wtem stracił grunt pod nogami i wpadł głową w jakąś bezdenną jamę pod olbrzymią olchą.

Zakotłowało się w wodzie, jakaś wielka ryba ośliznęła się po nim, połknął sporo wody, ale wnet oprzytomniał i wydostał się na powietrze. Musiał płynąć parę sążni, zanim zgruntował, potem znowu wpław łąpać kapelusz i siatkę, wreszcie na brzeg wyskoczył.

– No, tym razem to chyba psota „domowego”.

Pomacał torbę – była pusta. Raki wydostały się na swobodę.

Wieczór był bliski, opar wstawał z wody, ziąb chwycił przez mokrą bieliznę, ale Żuraw zawzięcie rozpoczął połów na nawo, wracając do dębu.

Zbiegłe raki musiały jednak zaalarmować swój szczep, bo brały się tylko niedorostki, aż rybak zniechęcony zabrał się do odwrotu.

Dzwoniąc zębami, biegł do chaty; na jednym przejściu nad topielą pośliznął się i wpadł w szlam i już z daleka posłyszał trąbkę na alarm i pohukiwanie towarzyszy.

Wybrali się ku niemu niespokojni.

– Czyś ty zbłądził? – spytał Rosomak.

– Nie, tylko się zagapił i wpadłem w tę jamę pod olchą.

– A suma nie było?

– Był. Okrutny. Mogłem rękami brać, ale o sobie myślałem, nie o nim.

Pantera już torbę obmacywał.

– Co tam? Kilka szczypawek.

– Bo wielkie drapnęły, jakim nurka dał. Brr! jak zimno! A nie wiecie, czy Kuba nocuje w rękawie?

– Myśmy o ciebie byli trwożni. Nie patrzałem.

– A wieczery nie ma?

– Owszem. Zacierki na mleku ugotowałem, aleśmy ciebie czekali i wreszcie poszli ratować.

W chacie było przyjemnie, ciepło, ale Żuraw nie dał się przekonać i przede wszystkim do cna się na czysto wykapał.

Gdy przyszedł na wieczere, rzekł z pewnym zawodem w głosie:

- Wiecie? Kuba jest w rękawie.
- Toć się troskałeś, by w lesie nie nocował.
- No tak, pewnie, ale zawsze to dowód straszego sybarytyzmu.
- Nareszcie przekonałeś się! – zaśmiał się Rosomak.
- Żuraw zaczął jeść; rozmarzyło go gorąco, ogarnęła nieprzeparta senność.
- Nie wylej zacierki z łyżki do ucha! – droczył się Pantera.
- Jeszcze muszę statki pozmywać! – zamamrotał, opierając się o ścianę.
- Ale oni dali mu drzemać i dokończyli domowe porządki.

Nie pamiętał, jak się znalazł w łóżku, tylko wszystko sobie przypomniał rano, znalazłszy pod poduszką dwa raki, upominek Pantery.

## Dzień chytrego Rosomaka

Rubinowe latarnie w okiennicach i krzątanie się Żurawia budziły wodza. Szedł do kąpieli i spóźniał się na śniadanie, bo tu i ówdzie zajął. Ze wszystkich stworzeń leśnych najmilsze mu były ptaki i te obserwował, i badał z amatorstwem. Wokoło chaty pełno skrzynek na drzewach i Rosomak doskonale znał historię i sprawy każdego skrzydlatego stadła. Żaden z leśnych ludzi nie mógł się pochwalić, że odkrył jakieś nowe gniazdo, bo ledwie zaczął, już wódz podpowiadał:

- W leszczynie, prawie na ziemi; wiem, to dzierzba! – albo:
  - Na sośnie za garbem; widziałem, to sikora czubotka zajęła stare wiewiórcze.
- Miewał specjalnych faworytów.

W zmurszałym pieńku brzoźowym niedaleko krynicy odwiedzał co dzień raszkę siedzącą na jajach. Pierwszego dnia sfrunęła; gdy wróciła, znalazła kilka mrówczych jaj w gniazdku. Na drugi dzień, gdy ujrzała nad sobą twarz olbrzyma – człowieka, zdrewniała. Czarne jak paciorki oczki wyrażały bezgraniczną grozę. Olbrzym rzucił znowu kilka mrówczych jaj i odszedł. Na trzeci dzień już przysmak porwała od razu i odtąd, słysząc trzask gałęzi pod stopą olbrzyma, czekała odwiedzin nietrwożna.

Po śniadaniu Rosomak oprawiał lampkę przed Królową, rąbał szczapy, ozuwał chodaki i szedł w las.

Brał ze sobą torbę, siekiere, sznur z hakiem na końcu i przepadał bez śladu. Szedł zwykle bardzo wolno, cały w słuch skupiony, przystawał często, do pnia wtulony, to wyciągał się pod krzakiem nieruchomy.

Las ledwie porastał w drobne liście; była to najlepsza, ale krótka pora do spostrzeżeń ornitologicznych.

Co dzień też Rosomak odwiedzał pszczoły. Od paru lat zajmowały dziuplę w starej wierzbie. Znał je dobrze. Czarne były, małe, bardzo cięte – dzikie, borowe.

Gdy leśni ludzie zajęli chatę, już je zastali. Ale dotąd nie było z nich pociechy.

Dziupla była nieszczelna, zmurszała, drzewo marne. Dobierały się do niej dziecięty zielone, niszczyły myszy; po zimie ledwie zostawała garść narodu, a zanim się rozhodowały, nadchodziła jesień.

W tym roku działo się najgorzej.

Ledwie chodziły na kwiaty, robota szła ospale, nie przynosiły do ula pyłku.

– Nie ma matki! – rzekł Rosomak po dłuższej obserwacji.

Ruszył w puszcę i rozmyślał.

Po leśnych fiołkach, co właśnie zakwitły, po łożowych kocankach pszczół było pełno.

Musiała istnieć druga dzika barć, bo od osad ludzkich, od sadów i pól, przez te bagna i moczary za daleko było pszczołom lecieć. Barć musiała być, ale gdzie? Przez lat parę Rosomak ten swój raj schodził z końca w koniec, z kąta w kąt i nigdzie barci nie widział drugiej.

Teraz znaleźć musi, te sieroty poratować. Położył się na polanie liliowej od fiołków. Roboczy naród obierał słodczy skrzętnie i odlatywał. Każdą człowiek leśny oczami przeprowadził i zrazu nic się nie dowiedział. Snuły się tu i ówdzie. Wreszcie dopatrzył, że jedne były małe i ciemne, inne większe i żółciejsze.

Po godzinie cierpliwości badacza już stwierdził, że te pierwsze wracały ku wierzbie, drugie zaś wznosiły się nad drzewa i kierowały na wschód.

A miały przy nóżkach koszycki złotego pyłku, a przy robocie nuciły wesoło.

Rosomak powstał z triumfem.

– Tam są i mają matkę! – rzekł, puszczając się za nimi na wschód.

Po drodze obejrzał każde stare drzewo; coraz na polankach przystawał, znowu owady śledził, znowu za nimi dążył, aż stanął nad nieprzezwyrodną zaporą.

Była to smuga trzęsawiska.

– Aha! W borze barć mają! Żółte są jako żywica. Że mi to na myśl nie przyszło! Tam im raj, w tej choinie.

Za trzęsawiskiem, jakby wyspa wśród morza, była wyniosłość niewielka, porośła starymi sosnami.

Widział wyraźnie ich złote pnie, grube konary i czarniawe korony. Jedna, jakby przodownica, niosła olbrzymią czapę bocianiego gniazda.

– Zda się, ręką do nich sięgnąć, a „wara” mówi topiel. Bezdenna jest; ani krzaka, ani drzewka, ale wąska! Nie więcej jak półtorasta kroków! Dostać się tam trzeba!

Położył się i rozpatrzony plan układał. Zaraz też spróbował gruntu, cofnął się i zaczął rąbać łoży, układać w snopy i wiązać.

Robotę przerwał mu sygnał obiadowy. Gdy zasiedli do obiadu, każdy opowiedział swe przeżycia i wrażenia.

– Wiecie, wodzu, dudek zagląda do skrzynki! – pochwalił się Pantera z odkrycia.

– Toś rewidował skrzynki?

– A tak mnie ochota wzięła Kubę naśladować! Przejrzałem siedemnaście.

– Ładna porcja jak na jeden dzień.

– Byłoby więcej, ale na jesionie ladaco gałąź mnie zdradziła. Gruchnąłem o ziemię i nadwichnąłem rękę.

– No i co?

– Ano nic, zhukałem Żurawia-doktora, w mig mi nastawił, ale zabronił udawania Kuby przez parę dni.

– I bez mego zabronienia nie mógłbyś pokazywać łamanych sztuk w tej chwili: ściętno masz mocno nadciągnięte.

– Cóż znalazłeś w skrzynkach?

– Najwięcej sikor-bogatek – mają już pisklęta; w jednej naliczyłem dwanaście rozwartych gardzieli. To dopiero robota wykarmić taką chmarę. W kilku muchołówki, te małe, nakładły błękitnych jająt; w dwóch są sikory-modraczki, wysiadują tak twardo, że je można ręką brać; w jednej nasyczał mi krętogłów, jak wąż, w jednej obłajały mnie szpaki, ale na tym jesionie właśnie miałem najgorsze przyjęcie. Zgadnijcie, kto ją zajął?

– No któż by? Może dzięcioł?

– Trzmiele! Niewielkie, szare. Sypnęły mi się do oczu, więc zmykałem co tchu i przez to na gałęzie nie zważałem, i gruchnąłem.

– No, a w którejże było to gniazdo gołych mysząt, coś mi je łaskawie włożył do maszynki kawianej? – spytał spokojnie Żuraw.

– Ja? Myszęta? Jakie? Kiedy?

– Ach, prawda! To także pewnie „domowy”! Żeś go nie wołał o pomoc przy zwichniętej ręce!

– „Domowy” na medycynę nie chadza.

– A ja mam złą wieść. Pszczoły w wierzbie nie mają matki!

Zafrasowali się obydwaj i jęli radzić.

– Pójdę po czerw do Odrowąża – ofiarował się Pantera.

– Kładki do Odrowąża są jeszcze pod wodą, a takie kręte, że sto razy można zmylić i w bagno wpaść.

– Może do domu pojechać, bo i chleba już mamy niewiele. Nawet nie mogę zrozumieć, gdzie mi tak prędko wyszedł – rzekł Żuraw.

– Gdzie? Pewnie „domowy” wyniósł i schował lub przepaśł nim Hatorę – zaśmiał się Rosomak.

Obydwaj spojrzeli na Panterę, który z miną niewiniątka zaciągał sznurki w świeże chodaki łykowe.

– Do domu jechać w tych dniach nie można – rzekł, jakby końca rozmowy nie słyszał – bo mi Łatana Skóra powiedziała dziś na ucho, żebym jej akuszera sprowadził. Czy pan doktor będzie łaskaw? – zwrócił się z ukłonem do Żurawia.

– Wypatrzyłem drugą barć – rozstrzygnął kwestię Rosomak.

– No to i po co majaczysz i nas się radzisz?

– A po to, że m fajki poobiedniej nie dopalił, a wyście statków nie zmyli. Jak się to skończy, to ruszymy wszyscy na ciężką robotę. Barć jest na Chojowej Górze, za topielą.

– Aha, musimy faszyną<sup>15</sup> jakie takie przejście wymościć i jeszcze się skapiemy po pas. Dobra nasza! Jazda! – porwał się Pantera do zmywania.

Po chwili ruszyli wszyscy trzej, zostawiając chatę pod opieką Opatrzności. Nawet Kuba, zgorzony tą ogólną wyprowadzką, dopędził ich i wsunął się na poobiednią drzemkę do kieszeni Żurawia.

Szli bez drogi za Rosomakiem i mówili o zamierzonej robocie.

– Co roku na świętą Annę poglądam na tę Chojową Górę i łeb suszę, jak by się tam dostać – rzekł Pantera.

– Dlaczegoż specjalnie na świętą Annę? – spytał Żuraw.

– Bo święta Anna grzyby sieje. Nie wiesz? Na Chojowej Górze rosną pewnie od początku świata co roku i nikt nie zbiera, boć tam nawet zimą trudno się dostać. Przekłeta topiel!

– Innym przekłeta, a nam błogosławiona – poprawił Rosomak. – Mielibyśmy to taki swój świat i raj, żeby bite drogi szły do chaty? Ucieklibyśmy po tygodniu, bo ludzie by nam życie zatruli.

– Pewnie. Chłopi i baby do Żurawia z chorobami, Żydzi po ryby, no i goście. Rany Pańskie! Jak kiedy posłyszycie w nocy, że jęczę, wiedźcie, że mi się to śni.

– Niech no kładki do Odrowąża nad wodą się pokażą, stary wnet się zjawi prawić mi o łamaniu w kościołach! – rzekł Żuraw.

– Ten do nas pasuje. Temum rad – uśmiechnął się przyjaźnie Rosomak. – On mnie uczył leśnego bytu.

Stanęli nad topielą i zaraz zawzięcie zabrali się do roboty.

Wiązali faszynę i ślali jakby pomost. Całe bagno chybotowało pod stopami; musieli omijać zupełnie nieporosłe bezdnie, szukać choć nikłej skorupy białawego, gąbczastego mchu: coraz to któryś zapadał i towarzysze musieli go wyciągać na sznurze. Zmoknięci, czarni od szlamu, parujący znojem, mordowali się, walczyli, zdobywali krok za krokiem, tak w swym uporze zaciekli, że nawet się nie odzywali. A wszystko – o zdobycie tej krzyny czerwii dla sierociego roju pszczelego.

Gdy hejnał wieczorny otrąbiły żurawie, pół brodząc, pół pełznąc, Rosomak wy dostał się z grzęzawicy i bez tchu legł pod sosną-przodownicą. Towarzysze ślali bezpieczniejsze przejście, ale już też byli bez siły.

– Wracaj, pora do chaty! – zawołał Żuraw.

– Wracajcie, ja tu zostanę, zanocuję. Jutro rano przynieście, ile znajdziecie, sznurów, garnek z żurem, kapelusz z siatką, co wisi na ścianie w komorze, no i chleba kawałek na śniadanie.

– Zgłodniejesz, zmarzniesz w mokrej bieliźnie! – wołał Żuraw troskliwie.

– Zapalki i tytoń miałem w czapce, więc są suche, siekiera i nóż jest, chrustu nie brakuje. Przenocuję doskonale, o świcie już barć znajdę i co trzeba przygotuję, zanim przyjdziecie. To nie ramowy ul, co ino daszek uchylić. Będziem mieli jeszcze kramu co niemiara. Spocznę przed ciężką robotą. Żegnajcie!

– Do zobaczenia! Będziem o świcie.

Rosomak został sam. Wypoczął chwilę i wnet zaczął się rozglądać i po swojemu otoczenie badać.

---

<sup>15</sup> faszyna – połączone gałęzie wikliny lub innych drzew. [przypis edytorski]

Zdziwiła go dziwna cisza tego ostępu. Był pewny, że zastanie ptasie królestwo bezpieczne, a była pustka.

Ani ujawniania się, ani świergotu, ani przedwieczornego rozgardiaszu.

Sosny stały jakby nieme; nawet wokoło wydawały się puste. Życie kipiało dopiero za topielą.

– Jakiś zakłęty kąt! – szepnął powstając. Obszedł brzegiem, rozglądając się. Ród starych sosen mieszał się dalej ze zwartym świerkowym porostem, podszytym gęstwą paproci i jeżyn.

Gdy przystanął, szukając możliwej szczeliny, nagle na sośnie, tuż za nim, zaszczekał pies.

Rosomak instynktownie za pień się cofnął i spojrzął w górę.

Na konarze, obok siebie, siedziały dwie nieruchome, wielkie, bure postacie. Patrzyły na niego dwie pary jaskrawopomarańczowych, okrągłych oczu, mrugając; i te twarze starych skapców czy zbrodniarzy wykańczał na typ zbójcecki czarny, potężny, zagięty nos-dziób.

Bez ruchu i głosu człowiek i para wielkopańskich rycerzy-rabusiów patrzeli na siebie.

Zrozumiał Rosomak ciszę i pustkę tego ostępu. Panowała tu burga tyrana-bandyty w pióropuszu na głowie.

Zniszczył życie wokoło, wymordował wszystko i królował, i władał, mocarz siły nad prawem.

– Tuś mi, krzyżacka wywłoko! – warknął zajadle Rosomak. – Tuś mi, herbowy rakarzu, kacie leśnego stworzenia, bezbożniku możny, tyranie słabych, cichych i spokojnych! Teraz na cię sąd i prawo! Teraz na cię kres! Słyszałem nieraz w nocy twe krwawe hasło i jęk ofiar i szukam cię już lata. Aż mnie tu przyprowadził opiekun pomordowanych ptasząt, byś za żywot łotrowski gardło dał. Ostatnia to twoja noc!

Zawrócił i odszedł, rzuciwszy ten pozew. Jeszcze korzystając z ostatnich chwil dnia, odszukał barć. Wskazały mu ją wracające z boru pracownice i ucieszył się, że była niewysoko i otwór miała dość szeroki.

– Teraz spoczne i ciszy posłucham – rzekł wyciągając się na mchach.

Ale spocząć nie mógł. Słońce zgasło, z bagien wstawały chłodne opary; ogarnął go ziąb. Więc się rozebrał, wytarł ciało do czerwoności mchem i znowu wilgotną bieliznę naciągnął. Teraz się rozgrzał, na głód fajkę wypalił i rozdmuchał na brzegu niewielki ogieniaszek.

Obruszyło to panów ostępu.

– Uhu, uhu! – rozległo się ponuro, groźnie. Czarny cień wysunął się z gąszczy, miękkie skrzydła musnęły go prawie w locie, zakołowało straszdyło nad ogniem i popłynęło nisko nad topielą do lasu po łup. Po chwili drugi za nim podążył.

– Uhu, uhu! *Unguibus et rostro!* Szponami i dziobem! Herbowa dewiza i bojowy zew! Uhu, uhu!

Wyciągnięty u ognia Rosomak słuchał. Od puszczy grzmiał weselny, wiosenny chór: łkanie słowików, bełkotanie cietrzewi, pobekiwanie kozłów. Na bojowe hasło rabusia – zaledwie chwila ciszy i znowu radosne hymny młodego życia.

Nagle rozdarł powietrze krzyk bólu, grozy, śmierci – i znowu cisza.

– Zadarł zająca! – szepnął Rosomak.

Na niebo wypłynął księżyc. Mgły w jego widmowym świetle potworzyły korowody tańczących mar w gzałach powłóczystych. Żabie kapele im grały; powiew wiatru układał figury, grupy, koła.

Kędyś daleko chlupnęła woda, coś zatętniło, zaklekotało, rozdarło korowód mgieł.

– Łoś idzie przez pohybelnik<sup>16</sup>! – szepnął Rosomak. – Dla tego nie ma topieli.

Jak widmo, bez szelestu piór rabuś znowu nad nim przeleciał, zapadł w gąszczu.

– Z łupem wraca! Ma w gnieździe małe!

Ale wreszcie ze zmęczenia i trudu ogarnęła go senność. Jeszcze patrzył, jak dym ogniska ku mgłom ruszył i w tan się wmieszał, jeszcze słyszał ostrzegawcze krakanie krzyżówki-matki i nagle ruszył i on za dymem i mgłami.

---

<sup>16</sup> *pohybelnik* – niebezpieczne, grząskie miejsce. [przypis edytorski]

I taki był lekki jak one; i zrobił się dzień, a on szedł przez topiele, zaglądał do gniazd, głaskał ręką ptaki, przepływał rzekę, objawszy ramieniem łosia za szyję, przypatrywał się, o krok stojąc, jak bąk-odludek zatapiał dziób w szlam i buczał donośnie, i odtrącał pięścią puchacza od srokatego kozłęcia łani.

I takim snem czarodziejskim skończył się pracowity dzień wodza-Rosomaka.

Zbudziły go żurawie poranne trąby. Zerwał się. Ledwie bursztynowe były zorze na wschodzie i jeszcze senność w przyrodzie. Szpilki sosen miały na końcach paciorki z rosy; na próg barci wyszło kilka pszczoł-wartownic i przecierały skrzydełka. Żaden ptak nie śpiewał. Czając się, unikając gałązki pod stopą, Rosomak ku gąszczom się przysunął.

Na tym samym konarze puchacze siedziały nieruchome, nadęte, ze złożonymi czubkami i spały syte mordem.

Na dziobach i pazurach miały śliskość świeżej posoki.

Cofnął się Rosomak, ognisko rozdmuchał i znowu omamił głód tytoniem.

A tymczasem świat się budził, rozbarwił, rozśpiewał z taką ochotą i zapałem, że aż zarażony tym leśny człowiek począł nucić półgłosem:

Co dzień z rana rozśpiewana  
chwał, o duszo, Maryję!...

– My som! Wodzu! – rozległo się za topielą. Porwał się Rosomak.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.